

Zygmunt Hofmokl-Ostrowski

Sto milionów

Palestra 19/12(216), 53-56

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMNIENIA

*Autor obchodził w bieżącym roku złoty jubileusz pracy zawodowej.
Poniższy szkic jest barwnym przekazem z pierwszych dni po oswobodzeniu
Górnego Śląska. (Red.).*

ZYGMUNT HOFMOKL-OSTROWSKI

Sto milionów

Jest początek 1945 r. Ulicami Katowic ciągną zdziesiątkowane i zmęczone oddziały hitlerowskie. Grupki, nie sprawiające wrażenia wojska, wloką się powoli na Zachód. Od czasu do czasu między nimi jadą wozy ciężarowe wiozące dygnitarzy w różnych mundurach, w szoferce — obok kierowcy — żony i dzieci, platforma naładowana dobytkiem w postaci mebli, waliz i worków, na jednym nawet duże popękane lustro ściennie w złożonych ramach...

Stoję na placu Wolności i oglądam dziejowy wymiar sprawiedliwości, jaki się tu wolno, ale konsekwentnie odbywa.

*

Zamieszkując w domu parafialnym, zamienionym na dom aktorów, którzy pod koniec wojny już nie występowali, słyszę kanonadę artyleryjską w pobliżu miasta. Dom opustoszał zupełnie, zostałem sam. Schodzę do schronu pod kościołem garnizonowym obliczywszy, że jego położenie jest względnie bezpieczne, umieszczone między dużymi domami. Zabieram ze sobą sporo poduszek i pierzyn, bo zimno i zapach stęchlizny utrudnia sen.

Rano okazuje się, że zapanowała zupełna cisza. Jest 27 stycznia 1945 r.

Wychodzę na zupełnie pustą ulicę Kopernika i spostrzegam dwóch żołnierzy radzieckich, którzy po obu stronach ulicy skradają się, patrząc w górę. Wołam więc głośno: „Da zdrastwuj!” i podnosząc ręce do góry maszeruję wprost na nich. W takich sytuacjach o tragiczne nieporozumienia nietrudno. „Kuda Niemcy!” — pytają. „Paszli!” — powiadam. „Ja Polak, wasz sojusznik”. „Choroszo” — mówią i idą dalej, otrzymawszy ode mnie przedostatnią paczkę papierosów i zapalki. Za nimi maszerują coraz to większe grupki, w końcu zwarte oddziały, zadające to samo pytanie. Na placu Miarki leżą dwaj polegli.

*

„Panie mecenasie” — mówi dozorca Paweł Motyczka z domu przy ulicy Rymera 7, w piwnicy którego znalazłem tymczasowe schronienie — „przyszło Wojsko Polskie, a na Rybnickiej jest polski generał”.

Na widok polskich mundurów łyżę stają mi w oczach. Rany odniesione na wojnie nie pozwalają, by się zaraz do nich przyłączyć. Jestem inwalidą. Szukam więc ul. Rybnickiej i znajduję samochody wojskowe, żołnierzy polskich i posterunek przed jedną z will, w której zakwaterował się generał Aleksander Zawadzki.

Melduję się zaraz do pracy, dowiedziawszy się, że Generał jest pełnomocnikiem Rządu na województwo śląskie. Jego towarzysze to płk Jerzy Ziętek, płk Eugeniusz Szyr, mjr Włodzimierz Stahl i adiutant ppor. Błażejczyk.

Z otwartymi rękoma zostają przyjęty do pomocy przy organizowaniu nowego

życia. Biorę więc udział w naradach i zebraniach, w porządkowaniu życia publicznego w zakresie gospodarki i administracji, opieki nad powracającymi w pasiakach więźniami Oświęcimia, a także nad Polakami, którzy uciekli z wojska hitlerowskiego.

*

„Mecenasie — powiada generał Zawadzki — dziś w nocy przywiozą z Warszawy sto milionów złotych, nie mam nikogo, komu mógłbym taką kwotę powierzyć. Proszę ją przyjąć, zaopiekować się nią i w porozumieniu z porucznikiem Borejdo rozdzielić ją między przemysł, aby mógł zaraz ruszyć. Wojna nie jest skończona, a produkcja nasza bardzo się przyda”.

„Oczywiście” — odpowiadam — „sprawa jasna, Panie Generale”.

*

W obszernym schronie przeciwlotniczym przy ulicy Rymera 7 koczuje i nocuje istna Wieża Babel. Pod czułą opieką pani Motyczkowej, która dwoi się i troi, mając czworo własnych „drobiazgów”, przebierają się z mundurów niemieckich w cywilne ubrania Polacy śląscy, przymusowo do armii hitlerowskiej przed przeszło pięć laty wcieleni, którzy na własną rękę zakończyli wojnę. Kilkanaście młodych dziewcząt ukraińskich, które uciekły z jakiejś fabryki na Śląsku, wędruje na chybił trafił do domu i znalazło tu chwilowe przytulisko. Pojedynczy Ślązacy, powracający z miejsc wywiezienia na roboty przymusowe, są najbardziej wyczerpani, toteż ogólne współczucie towarzyszy im słowem i czynem na każdym kroku. Maszerują za wojskami radzieckimi i polskimi pojedynczo lub w grupkach, zmarznięci, głodni i nieraz obdarci, a żywiący się z łaski kuchni polowych, ofiarnych chłopów w wioskach przydrożnych, samych zresztą żyjących w głodzie i chłódzie, a czasem z własnych, zręcznych rąk. Czesi wędrują aż znad Dniepru, Włosi wiozą na sankach swój skromny dobytek, wszyscy mają jedno życzenie, ogarnia ich jedno marzenie: do domu, do domu po tej strasznej tułaczce! Jest także ranny w rękę żołnierz niemiecki, błagający o litość i cywilne ubranie, Austriak, który nie chce iść do niewoli.

*

„Transport przyjechał!” — takim okrzykiem dozorca wyrывa mnie 5 lutego 1945 r. o godzinie czwartej nad ranem ze snu. Wskakuję z łoża złożonego ze starych wiórów stolarskich, zmarznięty i zaspany.

„Szybko płaszcz wojskowy” — odzywam się do dozorca, u którego widziałem nowiutki płaszcz z 1939 roku, i ubrany weń wychodzę na górę. Wśród stuku kołb i krzyku rozpoznaję w ciemnościach sylwetki polskich żołnierzy. Otwieram bramę i z miejsca ucziszam po wojskowemu zniecierpliwioną i zmarzniętą grupkę. Nic dziwnego: mają za sobą przeszło 300 kilometrów na otwartych platformach samochodów wojskowych, wiozących 48 pak załakowanych, na każdym z nich karabin maszynowy. A mróz —12°.

Młodziutki podporucznik melduje się przepisowo i podaje mi kopertę preadresowaną na moje nazwisko i miejsce pobytu z nadrukiem nadawcy „Narodowy Bank Polski. Warszawa”.

„Paki zwalamy i wracamy do Warszawy” — oświadcza.

„Panie poruczniku — mówię stanowczo — Pan nie wie, co Pan przywiózł”. Z rozkazu Generała Zawadzkiego polecam: „Samochody w czworobok, stała straż po obu stronach złożona z dwóch szeregowych, zmieniać co pół godziny aż do

odwołania, po dwóch ostrzeżeniach strzelać, reszta oddziału przenocuje w mieszkaniu na pierwszym piętrze, za nieposłuszeństwo sąd polowy”.

„Gorąca woda zaraz będzie” — dodają i znikam w piwnicy. Motyczkę proszę, aby ich zaprowadził do jednego z opuszczonych mieszkań, z których Niemcy uciekli, oddaję klucze dozorczy i zapowiadam rychły powrót. Ponadto zlecam dozorczy zapytać, czy przybysze nie mają czasem za dużo żywności, bo w schronie głód, a są i dzieci. Daremnie. Sami ledwie dla siebie mają.

*

Z karabinami gotowymi do strzału kolumna posuwa się wolno ulicami Katowic, by dotrzeć do gmachu Banku Polskiego. Na przedzie mały gazik, w nim podporucznik, kierowca i ja, ciągle w płaszczu wojskowym. Karabiny maszynowe ustawione na pakach wraz z obsługą budzą zrozumiałe zainteresowanie przechodzących wojsk i cywilów. Kilkakrotnie niezwykle pochód staje, bo niezliczone masy wojsk sprzymierzonych płyną za uciekającym wrogiem i nie zawsze ustępują drogi.

Wreszcie docieramy do ulicy Bankowej. Dzwonek do stalowej bramy wywabia umundurowanego bankowo dozorcę, który nie chce nas wpuścić, objaśniając: „Już tu byli”. Robi wrażenie wystraszonego człowieka. Dłuższa perswazja odnosi skutek. Samochody wjeżdżają.

Na osobności tłumaczę mu, że muszę w pancernym podziemiu ulokować nowe polskie pieniądze, które mam podzielić między zakłady przemysłowe. Dozorca załamuje ręce i bez słowa prowadzi mnie na dół. Nic z niego wydobyć nie mogę. Jest widocznie zastraszony.

Olbrzymie wrota pancerne do tresoru leżą na wznak, wysadzone wiązką granatów ręcznych. Wewnątrz rozbite niektóre sejfy, na ziemi walają się całymi stosami akcje niemieckich przedsiębiorstw, papiery o nieokreślonym przeznaczeniu i wartości. Brak tylko pieniędzy.

„Zabrali 40 pak ze złotymi zębami przysłanymi z Oświęcimia”.

„Kto?”

Dozorca milczy. Dalej nie pytam. Może się boi powrotu hitlerowców. Zamelduję.

Żołnierze dźwigają ciężkie paki do podziemia, oficerowi nakazują zabezpieczyć gmach i schron, a żołnierzy umieścić na sali operacyjnej, gdzie w ciepłe natychmiast zasypiają snem strudzonego wojaka. Sam idę do telefonu, aby zameldować płkowi Szyrowi dotarcie transportu do banku i prosić go o żywność dla mego półplutoniku.

*

Porucznik Borejdo już wie i ma na biurku listę, którym hutom, kopalniom i innym zakładom należy najpierw przydzielić pieniądze. Podział pozostawiono mnie. Zadanie dla prawnika raczej niewykonalne. Ale było się za młodu dwa lata w banku, wpadam więc na pomysł, żeby sto milionów rozdzielić stosownie do liczebności załóg bez względu na rodzaj zakładu. Innego wyjścia nie mam. Ale jak tu wytrzasnąć na poczekaniu stan liczebny załogi odległych nieraz o kilkadziesiąt kilometrów jednostek? Radio katowickie już działa. Na moją prośbę płk Ziętek poleca, aby każdy zakład niezwłocznie podał stan liczbowy załogi, bez żadnego komentarza. Podajemy jedynie numer telefonu bankowego, przy którym siedzę bez wytchnienia cały następny i część dalszego dnia. W końcu uzyskałem cały stan zatrudnienia i następnym komunikatem wzywam kolejno cały skład dyrekcji i rady zakłado-

wej — już mianowanych i wybranych — z jakimiś dowodami osobowymi, wyznaczając godziny stawiennictwa, podobnie jak sąd na rozprawę, ciągle przy tym nie zdradzając, o co chodzi.

*

Listy osób odbierających środki pieniężne sporządzam sam. Czynność to mozolna i przewlekła, niektórych muszę odsyłać po dowody, inni prócz dowodów niemieckich nie mają nic. Z tym muszę się zgodzić. Po pieniądze schodzę sam. Oficer siedzi przy pakach, które kolejno otwieramy przy pomocy żołnierzy i wyjmujemy obanderowane paczki nowiutkich, nie znanych nam jeszcze banknotów Narodowego Banku Polskiego wszelakiej wartości. Bilonu jeszcze nie ma.

Każdą pobraną kwotę kwituję z własnej inicjatywy oficerowi i zapisuję w oddzielnym zeszycie. Strach przed pomyłką towarzyszy mi stale, nawet gdy w nocy śpimy na pakach z pieniędzmi; spędza mi sen z powiek mimo zmęczenia. Oficer też się pogodził ze swym losem w obliczu wagi zadania, jakie mu przypadło wykonać. Także jakoś poddał się żelaznej dyscyplinie, jaką z miejsca zaprowadziłem. Tytułują mnie majorem — chyba dlatego, że jestem siwy.

*

Praca wre dzień po dniu — do upadłego. Osobiście muszę dopilnować, aby w mojej obecności pieniądze przeliczono, aby na liście każdy z odbierających pokwitował podpisem zgodnym z dokumentem rozpoznawczym. Manipulacja ta przedłuża się w nieskończoność. W braku dokumentu z wzorem podpisu podpisują obok podpisu danego obywatela dodatkowo inni członkowie dyrekcji lub rady zakładowej.

Prawie zbawieniem wydaje mi się, gdy piątego dnia zjawia się pracownica Banku, a po tygodniu dalszy bankowiec mgr Morcinek. Żołnierze, którzy mnie przez cały czas żywili ze swoich zapasów, odjechali. Zastąpiło ich pięciu świeżo upieczonych milicjantów z plutonowym na czele, którym od razu kazałem w obecności oficera wojskowego oddać legitymacje, po czym zadzwoniłem do Komendy wystawiającej w celu sprawdzenia autentyczności, wszystkie dane osobiste odebrałem i spisałem, oddając je woźnemu banku na przechowanie. Widok takiej olbrzymiej sumy pieniędzy może i uczciwego człowieka oszołomić. Huta „Pokój” otrzymuje siedem milionów złotych!

Mgr Morcinek przyczynił się bardzo do usprawnienia i przyspieszenia rozdziału. Pracownica bankowa zasiadła w kasie. Już trzynastego dnia mogłem zameldować generałowi Zawadzkiemu zakończenie rozdziału i przedstawić listę, na której się wszystko zgodziło.

*

Serdeczny uścisk dłoni, a następnie decydująca pomoc Aleksandra Zawadzkiego i Jerzego Ziętka przy uzyskaniu spółdzielczego mieszkania po powrocie do Warszawy stanowiły dla mnie prawdziwą satysfakcję.